

Majowe dni kultury

Tegoroczne Dni Oświaty, Książki i Prasy będą miały wyjątkowy charakter. Stanowią jeden z elementów obchodów Dwudziestolecia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, a równocześnie poprzedzają IV Zjazd Partii, przypadając na najgorętszy okres przygotowań, nasilonej dyskusji nad tezami zjazdowymi. Nie pozostanie to bez wpływu na treść i formę obchodów Dni. Na ten temat „Widnokrąg” rozmawia z zastępcą przewodniczącego Prezydium WRN w Rzeszowie — MIECZYŚLAWEK KACZOREM.

— Problematyka kulturalna zawarta w tezach zjazdowych znajdzie odbicie w imprezach organizowanych na terenie województwa rzeszowskiego. Obchody zainauguruje sejmik działaczy kultury (3 V) poświęcony omówieniu wojewódzkiego programu rozwoju działalności kulturalno-oświatowej w latach 1964—70. Prace nad programami powiatowymi, które stanowią punkt wyjścia do programu wojewódzkiego, trwają już od dłuższego czasu. Celem ich jest stworzenie podstaw do systematycznej, przemyślanej, opartej na znajomości potrzeb planowej organizacji sieci placówek kulturalno-oświatowych i ich działalności. Programy powiatowe oraz wojewódzki opracowywane są wspólnie ze związkami zawodowymi, przy udziale wszystkich organizacji społecznych.

Zasadniczym tematem Dni będzie ukazywanie dorobku Polski Ludowej we wszystkich dziedzinach życia społecznego, a zwłaszcza oświaty, kultury i sztuki oraz konfrontacja tego dorobku z sytuacją, jaka istniała w Polsce w okresie międzywojennym.

WIDNOKRĄG: — Jakże, oprócz wymienionego na wstępie sejmiku, imprezy odbędą się w czasie Dni?

— Wymienie kilka najważniejszych: zjazd bibliotekarzy, który podsumuje dorobek bibliotek powszechnych, zjazd księgarzy, wystawa obrazująca rozwój bibliotek i czytelnictwa w Dwudziestolecie (organizuje Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Rzeszowie). Odbędzie się blisko 60 spotkań z pisarzami, kiermasze książkowe itp. Warto jeszcze wspomnieć, iż na okres Dni przypadnie zakończenie dwóch wielkich konkursów czytelnich — „Upowszechniamy wiedzę, rolnicza” i „Złoty kłosa dla twórcy, srebrny dla czytelników” oraz Dni Muzyki Kameralnej w Łańcucie.

Popularyzować będziemy w tym okresie literaturę społeczno-polityczną — wzbogacającą wiedzę o przemianach społecznych i ekonomicz-

nych, a także najbardziej wartościowe pozycje literatury pięknej.

W wielu miejscowościach otwarte zostaną nowe świetlice, czytelnie, kluby książki i prasy „Ruch”. Akcja społecznego zakupu telewizorów, która zatoczyła na terenie naszego województwa szerokie kręgi będzie w czasie tych dni w niektórych miejscowościach sfinalizowana. Obecnie działa we wsiach ponad 200 społecznych komitetów gromadzących środki na zakup telewizorów.

W.: — Na okres obchodów Dni, podobnie jak w latach ubiegłych, przypada Tydzień Ziemi Zachodnich i Północnych...

— ...Nie pozostanie to bez wpływu na ich przebieg. W ramach tego tygodnia zorganizowana będzie akademia wojewódzka w Krośnie, a także akademie w Rzeszowie, Przemyślu, Sanoku, Łańcucie, Stalowej Woli i Leżajsku. Odbędzie się także finał konkursu — „Nasze morze” oraz wystawa prac młodzieży szkolnej, obrazująca dorobek rozwoju Ziemi Zachodnich i północnych.

W.: — Pozwól Pan, że wrócę jeszcze na chwilę do sprawy upowszechnienia kultury i oświaty. Czy wspomniane programy powiatowe i wojewódzki gwarantują również ożywienie pracy kulturalno-oświatowej w małych miasteczkach i wsiach?

— Tak. Wiele pomoże nam tu także realizacja hasła — „Szkoła pomaga i organizuje kulturalną rozrywkę”. Województwo rzeszowskie jest jednym z dziewięciu w kraju, w których jest ono realizowane. 67 szkół stało się ośrodkami pracy kulturalno-oświatowej. Ostatnio Ministerstwo Oświaty i Ministerstwo Kultury i Sztuki dokonały wspólnie oceny tej akcji. Stwierdzono, że organizacja ośrodków i wyposażenie w związku z tym szkół w meble klubowe, pomoce naukowe, stworzyły nie tylko możliwości pracy z dorosłymi, ale równocześnie polepszyły

warunki realizacji programu dydaktyczno-wychowawczego.

Nie jest sprawą przypadku, że w roku bieżącym Dzień Działacza Kultury zainauguruje obchody Dni Oświaty, Książki i Prasy. Ma to na celu podkreślenie społecznej rangi działaczy. Znajdzie to także wyraz w nagrodach i wyróżnieniach, które w tym dniu zostaną wręczone najbardziej zasłużonym. Będzie to oczywiście tylko jedna z form wyróżnienia, uznania. Chodzi o stworzenie właściwego klimatu dla społecznej aktywności w tej dziedzinie, o pozyskanie jak najszerszych kręgów inteligencji, zwłaszcza ze środowisk małych miasteczkowych i wiejskich, dla pracy kulturalno-oświatowej.

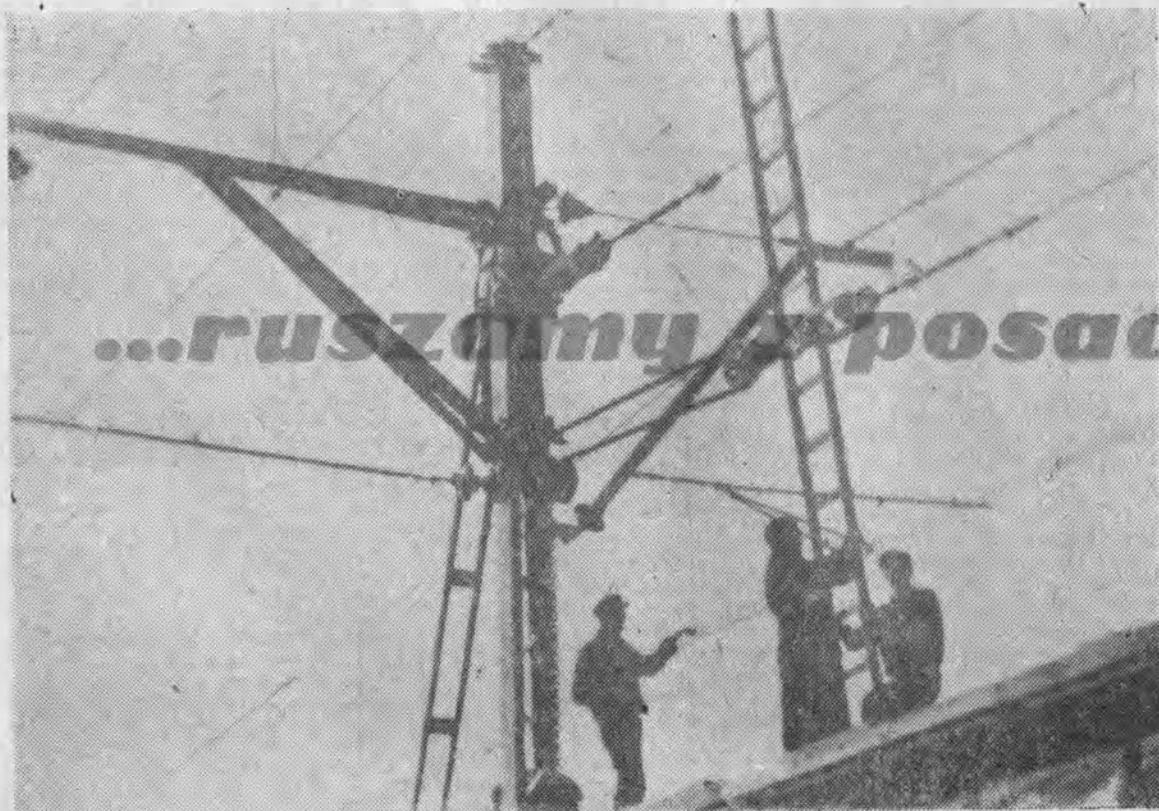
W.: — Z roku na rok Dni obchodzone są coraz bardziej uroczysto, przywiązujemy do nich większe znaczenie. Jakże nowe formy tych obchodów wypracowane w ciągu ostatnich lat?

— Mówiąc ogólnie — wzrosło zainteresowanie sprawami oświaty i kultury, a konkretnie coraz szerszy jest udział nie tylko placówek i instytucji kulturalno-oświatowych, lecz także organizacji społecznych, a przede wszystkim związków zawodowych. Dni nie są obecnie już tylko zlepkiem imprez, lepiej czy gorzej przygotowanych, lecz pracownym okresem wykorzystywanym na popularyzację dorobku kraju, wypełnionym dyskusjami nad programem dalszego działania w dziedzinie upowszechnienia kultury i oświaty.

W.: — Doszła nas niepokojąca wiadomość, jakoby miało nastąpić w Rzeszowskim połączenie wydziałów: kultury i oświaty? Na ile jest ona prawdziwa? Wszak dotychczasowe doświadczenia innych województw w tej dziedzinie są negatywne.

— O tyle prawdziwa, że są takie propozycje. Osobiście propozycją połączenia wydziałów nie jestem zachwycony. Na dobre to kulturze chyba by nie wyszło. Wypowiedzą się za kilka dni na ten temat członkowie Komisji Kultury i Oświaty Wojewódzkiej Rady Narodowej, a następnie członkowie Prezydium WRN. Trudno przewidzieć już dziś, jaki będzie rezultat tych rozmów, gdyż zwolenników jest prawie tyle samo co przeciwników. W każdym razie przed podjęciem decyzji trzeba wszystko dokładnie rozważyć i przewidzieć...

Rozmawiał: RYSZARD BILSKI



...ruszamy z posad bryłę świata



FRAGMENTY

„Rozwarła się wielka brama... Z głębi murów olbrzymich, zadymionych sadzą, wyszedł na ulicę wielki ludzki tłum. Wyszli od razu, wywalił się jak bryła. Powiewała nad nim czerwona chorągiew, płótno we krwi zmaczane. Proste drzewo tkwiło w jakowychś dłoniach wyschniętych, sekających z czarnymi pazurami. Zdawało się, że dłonie te, to szpony ptasie, co pochwyciły i trzymają zdobyty łup. Poniżej dłoni widać było na suchych gnatach dwa brudne mankiety z ordynarnymi spinkami. Dolny brzeg i koniec czerwonego płótna lewą ręką unosiła ku górze kobieta obwiązana chustką wełnianą. Na prawej ręce dźwigała niemowlę, którego główka, wystająca się z chusty matczynej, tkwiła ponad odkrytymi głowami. Wokół sztandaru tłoczyli się w pośpiesznym marszu figury szerniałe, rude, pożółkłe, ludzkie o skórze lic tego wydeblonej dymem, kwasami, sadzą i smrodem. Szli mężczyźni o oczach doskonale wyżganych pracowitymi igłami porządnej pracy, o trzewiach wyżartych od chorób, o nerwach, których szaleństwo ucisza wódka. Wszyscy byli odziani w tandetne miejskie galgany, kupione w sklepach starych. Ich tużurki, marynarki, żakiety, riding-coaty były galganskim naśladowaniem odzieży ludzkiej, podobnie jak ich głosy.

wy, złupione przez pracę, obrzydlone od biedy, spotniałe od trudu, były karykaturą kształtu ludzkiego.

Skoro się pojawili w ludnej ulicy, gdy na jej tle bezbarwnym zakwitł krwawy kwiat, ludzie normalni, „obywatele” zaczęli pomykać na prawo i na lewo, w tył i naprzód. Jedni zapadli w bramy tak momentalnie, jak znikła widmo starego Hamleta w teatrze; inni sunęli wzdłuż murów niepodobni do samych siebie, na obraz cieniów latarni czarnoksiężskiej. Byli tacy, co stawali nieruchomo pod murem z przymrużonymi oczami i wciągniętym w płucach oddechem, jak gdyby w oczekiwaniu, że ściana się rozstąpi, pochłonie i wybawi.

Dookoła idącego zastępu zataczyła się pusta sfera powietrza. Szli sami. I sami naturalną siłą tworzyli ze siebie krag coraz bardziej spoisty. Kiedy niekiedy i z tego kregu odpadł człowiek. Jak pacyna urwana od wirującej bryły, leciał po linii stycznej i ginął w zaułku, niki w bramie, ogarnięty przez ilościowe objęcie, przez macierzyste łono muru. Maszerujący dalej ścisłali się korpusami ciał coraz szczelniej, coraz mocniej, coraz bardziej. Wsparli się ramionami i szukali podniety w ich dreszczu.

Bicie serc stało się jedno.

Pieśń o czerwonym sztandarze zlatywała z ich warg zdętych i rwała się raz wraz. Co ją ze zduszonej piersi wysiepalili jak obosieczny miecz — co wyrzucili strofę spomiędzy zwojów zębów, to się nagle rozsypała, jak lotny piach, w luźne wyrazy, w tony i dźwięki.

„Zupełna pustka stała się na ulicy. Nagie ściany domów, zamknięte okna. Zatrzaśnięte drzwi i nagi bruk.

Nagi bruk.

Z poprzecznego zaułka wyszedł niespodziewanie jakoby ruchomy odlam muru. Szynele koloru skostniałej ziemi, żółtawe basztyki, niby skiby roli porośnięte.

Na ten widok wyrwała się z pęt i wybuchła pieśń. Stała się okrzykiem wolności, wydartym z głębin ducha wielkiego ludu. Niby z otchłani lecąca strzała, której żeleżce dymi się jeszcze od krwi, padła w pustą ulicę i nastawiony połysk karabinów.

Popchnięty od ducha zachwyty, natchniony postannictwem tłum zrosł się w jedną bryłę. Stał się męstwem, które śmiercią pogardza. Szedł niezachwiany, wyniosły, ślepy i głuchy, żywy pocisk torujący drogi wolności.

ELŻBIETA JAKUBOWSKA

W poszukiwaniu oryginalności

Są w naszym kraju wsie, w których co drugi mieszkaniec nazywa się Kowalski, w dodatku Józef. Są wsie noszące nazwy miast leżących pod zgoła innym równoleżnikiem i południkiem, jak np. Ryżem, Neapol, Paryż, nęcące wyobraźnię zabytkowymi budowlami, romantycznymi gondolierami, czy też frywolnym „Czerwonym młynem”. W takim wypadku pozostaje tylko westchnąć nad naszym kolbuszowskim Nilem.

A jednak reporterzy w poszukiwaniu atrakcyjnych, oryginalnych tematów docierają do tych miejscowości. Nie zawsze zresztą przynosząc rozczarowanie, rozbudzonej wyobraźni czytelników. Wszak życie jest tak piękne.

Podobnie było i z Żurówką, niedużą wioską w powiecie jasielskim. Sięgnęła z bednarstwa. Z górą setkę lat. Nie ma tam bodaj domu, gdzie by ktoś jeden — a nierzadko dwójka i troje — nie zajmował się wyrobem beczek i beczulek, maślin, cebrzyków, drewnianych warzechwi i innych kucharskich przyborów, tak chętnie przez satyryków utożsamianych ze znamionami „władzy domowej” i narzędziem „ucisku mężczyzn”, jak np. wałek do ciasta lub większych rozmiarów tłuczek do ziemniaków. A tych widziałam ostatnio pełne wory przygotowane do wysyłki w daleki świat.

Zaczęło się najprawdopodobniej od strugania drewnianych mis na strawę, żyłek, niecek i donic. Surowca w koło było pod dostatkiem. Lasy szumiły. Potem przyszła kolej na baryłeczki wysyłane nawet do c. k. Austrii, w których marynowano i przechowywano „mośkali”. Dla niewtajemniczonych wypada dodać: mniej urodliwe śledzie stanowiące w ówczesnych czasach przysmak i okrasę dni wielkopostnych, jakby tych „postnych dni” jeszcze mało było w ubogich wieśniaczych chatkach. Głód aż skwierczał. I gdyby nie owo zgrabne beczek zbijanie, kto wie jakby to było. Czasem cebrzyk lub maślnica wyniesiona na plecach pozwalała na zakup garści soli lub flaszki kamfany, jak tu naftę nazywano.

Dzieje tej wioski wyczytać można z kroniki szkolnej, która zaczęła prowadzić jeszcze w 1882 roku. Wtedy to właśnie miejscowy organista Jan Bak zaczął uczyć polskiego abecadła chłopięckie dzieci. Ale dopiero w dwa lata później otwarto oficjalnie filię wiejskiej szkółki. Mijały lata, a szkoła nie stanowiła centrum zainteresowania, żyła swoim życiem. Nauczycielskiej wytrwałości i zrozumieniu istoty i znaczenia oświaty zawdzięczać należy jej przetrwanie. Ciężko było nauczycielom żyć w tej wiosce zagubionej w lesistych pagórkach.



Foto: N. CHORUNYJ

— Co komu po czytaniu — pytał ten i ów. Nic też dziwnego, że żala się nauczyciele w kronice na ciemnotę, na niechęć rodziców. — Tu każdy z nas jest dobry — piszą — przez pierwszą tygodnie, jak się jednak zorientują, że rzeczywiście chcemy dzieci uczyć, wymagamy najprostszych rzeczy, bodaj tabliczki i ryska, zaraz gwałt podnoszą. Biedni i zacofani.

Śmiech ogarnia, gdy czyta się rozmowę, którą przeprowadził w 1897 roku miejscowy nauczyciel z przewodniczącym rady szkolnej — Chłop — pisze — głupi jak but. Mówię mu trzeba podnieść stopień szkoły, aby dzieci czegoś więcej niż abecadła uczyć. — E, po co — odpowiada. Plece się dymia, trzeba przebudować — mówi. — Namyśle się... I tak w koło, szywrot na wywrot.

Wielka rehabilitacja mieszkańców Żurówki stał się rok 1961, kiedy to przedstawiciele miejscowego społeczeństwa oddawali w ręce nauczyciela klucze do pięknej, nowoczesnej, jednopiętrowej szkoły z centralnym ogrzewaniem i innymi szykanami. A wybudowali ją w czynie społecznym, własnymi rekami. Wypalali sami cegły; kopali fundamenty, wykonywali wszelką niefachową robotniczą.

— Niech służy naszym dzieciom, całemu społeczeństwu — powiedział. Dziś już nikt nie kwestionuje potrzeby nauki. Wszystkie dzieci podlegające temu ustawowemu obowiązki zasiadają w szkolnych ławach i uczą się.

Wspominkom tego dnia nie było końca. Stapali niemal nabożnie po wszystkich salach, lastrykowej posadzce, po której ich dzieci miały chodzić w mlekliwych trepkach.

— To nie tak — mówili — jak dawniej za naszych młodych lat. Zima, lato — bosy... Z bratem dzieliło się jedna para obuwia. Leciło się nędzą do szkoły. Od podłogi „ciągnęło”. Nogę kostniały. Wówczas się pod nie czapkę podkładało. Zaw sze było ciepło. Czaszy niezbyt odległe. Taki był m. in. rok 1936, w którym to obecny kierownik szkoły — Franciszek Kuś obejmował placówkę oświatową.

Za całe 20-lecie przedwojenne tylko 7 osób opuściło wioskę, zdobyło jakieś wykształcenie i do Żurówki nigdy nie wróciło. Nasza ludowa 20-latk okazała się bardziej taskowa dla prostych ludzi. Stu mieszkańców Żurówki zdobyło wykształcenie i pracuje na różnych stanowiskach, w różnych zawodach. Samych inżynierów jest czterech, lekarzy i kilkunastu absolwentów innych, wyższych uczelni i zakładów naukowych. W bieżącym roku spośród 29 dzieci opuszczających klasę 7

22 wybiera się do szkół średnich. Ogólnokształcące szkoły nie cieszą się większym powodzeniem. Kierunki zawodowe, techniczne są chętniej wybierane. Ale i młodzież, która pozostaje we wsi uczęszcza do szkół przysposobienia rolniczego. I co ciekawe, zostają głównie dziewczęta. Taki tu zwyczaj, zapewne z kopyścią nie mający nic wspólnego. Chociaż kto wie... Kobiety tu ochotne do roboty. Niejedna potrafi nie gorzej od mężczyzny pracować na cyrkularce, strugać klepki, a także dobrze gotować. Podejmują więc obowiązki na gospodarce. Wychodzą z założenia, że chłopom bardziej po świecie przystoła latać i interesy robić. Może i racja.

Zmiany w Żurówce następowały powoli. Wolniej niż gdzie indziej. Drogi od niej wiodły kłopotliwe. Do kolej było przeszło 20 km. Ani światła, ani innych rzeczy powszechnych nawet w okolicznych wsiach położonych bliżej traktów i powiatu. Ale przecież i do Żurówki nowe doszło. Zrozumieli, że wiele spraw można rozwiązać bez uciekania się do władz powiatowych, własnymi siłami. Było iść razem i nie każdy z osobna. Często o tym mówili towarzysze z miejscowej organizacji PZPR.

— Spróbujmy wybić sobie okno na świat. Tym oknem miało być światło elektryczne. Już od dawna marzyły się im żarówki, radio, no i wreszcie energia, która pozwoliła by na zastosowanie maszyn w chałupniczej robotce. Długo by opisywać historię tamtych starań. Ale światło miało. I dziś nie chce nikt powiedzieć kto robotce przewodził, kto w niej się wyróżniał. Wszyscy — powiadają. Niech i tak będzie. Potem zabrali się do dróg, chcieli mieć komunikację samochodową. Poszczególne przysiółki Podjurze, Niwa, Nowa Wieś liczywały się między sobą kto da więcej robotnicy. Były tylko Gromadzka Rada Narodowa w Olinach i władze powiatowe w Jasle, powzieli postanowienie komu będa pomagać. Wygrwali zawsze ofiarniejsi, bardziej robotni... Ich czynem małomównie także pokazywał odcinek drogi.

Pytałam o ciekawostki w ich życiu, o różne dyktoryjki. Zbyszano mnie milczeniem. Kto ma na takie rzeczy czas? Zamiast zechy suszyć na darmo — idziemy do kina. Mają własne. W czwartek idą starsi. Niedziela należy do młodych. Wielu z nich wypuszcza się na motocyklach w dalekie wycieczki. Poznają swój kraj. Gdzieś te czasy, w których rower kupiony przez „jubiler” Leopolda Słomskiego wywołał we wsi sensację nie lada. Chłopiśko nie mo-

(Ciąg dalszy na str. 4)



Foto: M. KOPEC

Z przedzjazdowej trybuny

Zadania muzeów

Placówki muzealne w woj. rzeszowskim mają wiele poważnych osiągnięć. Rokrocznie przez sieć muzealną przewijają się tysiące ludzi. Przykładem może być Łańcut, gdzie w ciągu roku odwiedza placówkę muzealną ponad ćwierć miliona osób. W muzeum w Rzeszowie w latach 1950—1963, frekwencja wyniosła 338.510 osób, muzeum w Przemyślu zaś w analogicznym okresie 230.413 osób. Cyfry te wskazują, że zainteresowanie placówkami muzealnymi jest poważne.

Warto przy okazji przypomnieć, że Rzeszowskie posiada w zadowalający sposób rozbudowaną sieć muzealną. Ma 18 placówek, w tym 8 na budzie państwowym, reszta utrzymuje się z dotacji społecznych (PTK i inne). Dla wielu muzeów stworzone w 20-lecie dobra baza działalności, jest w nich zatrudnionych około 150 osób. Warto przypomnieć, że placówki muzealne dysponują 6 samochodami itp.

Mimo doskonałych warunków, jakie posiadają niektóre muzea, działalność ich w upowszechnianiu kultury jest jeszcze za mała. Dlatego też należy postawić przed nimi zadanie szerszej działalności k. o. w swoim środowisku oraz podjęcie pracy na wsi. Akcja w myśl hasła „Muzea uniwersyteckie” została podjęta przez placówki muzealne w Rzeszowie i Przemyślu. Cykle odczytów niejednokrotnie związane z najważniejszymi dziełami czy przeobrażeniami gospodarczymi i kulturalnymi cieszą się zainteresowaniem społeczeństwa.

Nowe placówki muzealne w minimalnym stopniu organizują ekspozycje stałe poświęcone tradycji rewolucyjnej czy okresowi okupacji. Wystawa czasowa zorganizowana z okazji 20 rocznicy PPR przez Referat Historii Partii KW PZPR w Muzeum Okręgowym cieszyła się olbrzymim zainteresowaniem społeczeństwa, co dowodzi, że tego typu wystaw powinno być więcej.

Winnimy się zastanowić, czy w poszczególnych muzeach nie zorganizować stałych ekspozycji poświęconych tradycjom rewolucyjnym. Należałoby położyć większy nacisk na ukazanie okresu okupacji, walki partyzantów z okupantem, taktyka dyskryminacji na Niemiec hitlerowskich w stosunku do narodu polskiego. Nasze najnowsze dzieje wymagają większego zainteresowania, gromadzenia dokumentów, ekspozycji itp.

Należałoby przy muzeach tworzyć ośrodki dokumentacji przeobrażeń, jakie u nas zachodzą i informacji dotyczącej minionych okresów. Tego typu działalność można prowadzić przy minimalnych nakładach finansowych, wykorzystując do współpracy poszczególne zakłady pracy, młodzież itd. Można by organizować wystawki o bieżących wydarzeniach w zasięgu działalności Muzeum, za pomocą zdjęć, dokumentów itp.

Ważna jest również sprawa wyjścia placówek muzealnych na wieś z odczytami, wystawą oświatową o charakterze objazdowym. Są placówki posiadające własne samochody, aparaty projekcyjne, lecz czy któraś z nich wyszła z pracą oświatową poza obręb własnych murów? Prosta forma działalności, lecz niedoceniona. Wdzięczni widzowie i słuchacze na wsi oczekują na tego typu inicjatywy.

Przed placówkami muzealnymi stoi jedno z poważnych zadań wychowywania społeczeństwa w zamiatowaniu do historii i kultury ojczyzny. Można to wspierać czyni- udość podsumować swoje osiągnięcia oraz krytycznie ocenić niedociągnięcia, tak by w najbliższych latach usunąć je i wprowadzić nowe formy i programy działalności w perspektywie rozwojowej do roku 1970.

ANTONI KUNYSZ

dyrektor muzeum w Przemyślu

EDWARD WISZ

Droga awansu

Stanisław Jaworski miał 29 lat, kiedy niespodziewanie mianowano go dyrektorem Zakładów Porcelany w Wałbrzychu. Nie bawiono się z nim w cegiele. Zawołano do Komitetu Miejskiego Partii, poczęstowano papierosem i powiedziano wprost:

„Dotychczasowy dyrektor wyjeżdża jutro do Warszawy. Dostał awans. Jeszcze dzisiaj musicie się z nim skontaktować. On wie już o wszystkim. Przekąte wam klucze do gabinetu i w ogóle wprowadzi was w tajniki przedsiębiorstwa”.

Jaworski był w zasadzie przyzwyczajony do tego rodzaju nagłych decyzji. Będąc członkiem KM często brał udział w naradach organizowanych przez miejską instancję, na których w dość drastyczny sposób rozstrzygano sprawy kadrowe. Bywało, że ścigano go z łózka o północy. Szybko się ubierał i szedł do KM, gdzie w pokoju pierwszego sekretarza rozgrywała się osobliwa scena. Mianowicie odwoływano dyrektorów i kierowników państwowych przedsiębiorstw.

Były to pierwsze lata po wyzwoleniu. Lata heroicznej odbudowy, ale i szabru, wyteżonej pracy, ale i wojny bratobójczej o władzę, ofiarności, ale i sabotażów. Dla Ziemi Odzyskanych te wszystkie momenty były szczególnie charakterystyczne. Działy tamte lata przysłańia teraźniejszość. Czas zatarł w pamięci wiele faktów, wydarzeń, dat. Jednakże dzień, w którym obejmował stanowisko dyrektora, wydarzenie nie należące przecież do zwykłych, powszednich, dyrektor Jaworski pamięta z najdrobniejszymi szczegółami. Już wtedy miał za sobą szkołę handlową, którą ukończył w Nowym Sączu, dwa lata pracy w Solcach-Zdroju w charakterze kierownika pensjonatu uzdrowiskowego i dwa lata pracy w wałbrzyskiej fabryce porcelany, gdzie zaczynał swoją karierę od referenta socjalnego, a skończył na dyrektorskim fotelu. Między jednym a drugim stanowiskiem był jeszcze oddział kompletowni (odbior i wysyłka gotowej porcelany), były obowiązki kierownika tego wydziału.

Przypomnijmy sobie niektóre fakty. Nikomu wówczas nie przychodziło na myśl rozpisywanie konkursów, nikt nie pozwalał sobie na przebieganie w kandydaturach niezym w ulgach. Najważniejsza rzecz: praktycznie inteligencji technicznej nie mieliśmy. Chodziło więc o stworzenie nowej kadry kierowniczej spośród robotników i chłopów. Spośród urzędników i rzemieślników. Zmuszeni byliśmy latać dziury powstałe w czasie wojny. Na ludzi z ukończonymi studiami, na młodych fachowców trzeba było jeszcze poczekać. Tak więc sięgnięto do środków nadzwyczajnych.

Robotnik stawał się nagle dyrektorem. Dotychczasowy majster przekakiwał kilka szczebli wyżej. Dyrektor Jaworski nie był więc wyjątkiem. I nie on jeden bronił się przed tą nominacją.

— Wtedy nie pytano mnie nawet o zdanie — wspomina. — Powiedziano, że to jest polecenie partyjne i na

nie żądano świadectw. Jedynym czołwiekiem w tym zakładzie, który posiadał wyższe studia i rzeczywiście znał się na technologii i całej produkcji był syn byłego właściciela Fabryki Porcelany w Boguchwałach.

Kiedy Jaworski zwierzał się swojemu przełożonemu z Centralnego Zarządu, że czuje się w dyrektorskim



„Zanim zacząłem od ludzi wymagać — musiałem się sam uczyć...”

tym całą dyskusją między mną a pierwszym sekretarzem KM została zakończona. Kiedy nieśmiało wspominałem o szkole, kiedy powiedziałem, że chcę się zapisać na Politechnikę, usłyszałem w odpowiedzi, że i na to przyjdzie czas. Ale nie teraz. Teraz trzeba myśleć o uruchomieniu produkcji.

Zakład wałbrzyski produkował porcelanę stołową w oparciu o stare plany niemieckie. Dużo się wtedy tego robiło i prawie wszystko wchłaniał eksport. Wymyślne talerzyki, cudaczne garnuszki, cienkie jak bibuła podstawki — wszystko to znajdowało chętnych nabywców za granicą.

Załoga — tysiąc dwieście ludzi. Ciągła płynność kadr. Jedni przyjeżdżali, drudzy odjeżdżali. Niezadko obladowani paczkami porcelany. Ze względów zasadniczych i rozumiałych przyjmowało się jednak do pracy każdego. Nie pytano o opinie,

fotelu jak uczeń, który dopiero zaczyna poznawać literę, a dano mu już do przeczytania książkę, zagadnięty odpowiadał: „My się od tego nie uratujemy. Nie znamy technologii. Nic nie szkodzi. Znamy ją majstrowie. Nie orientujecie się w buchalterii? Przecież od tego są urzędnicy. Ty jesteś od rzadzenia. Jedyna moja rada: bądź wymagający. Staraj się poznać ludzi i uczyć się od nich. Za wiele od ciebie nie żądamy. Daj na początek tylko 70 proc. planu. O resztę niech cię głowa nie boli”.

Dał nie 70, lecz sto kilka procent planu. Dał chyba dlatego, że używając lapidarnego określenia, za którym przebiegał kryje się ogrom pracy, udało mu się zdobyć zaufanie ludzi. To wszystko jest dziś tak proste, a wtedy proste nie było.

W biurze najpierw go obserwowano, później chcieli sobie z niego zapisać, bazując na jego minimalnym przygotowaniu. Ważniejsze papierki

zabierał więc do domu i dopiero po konsultacji z kolegami z sąsiednich zakładów, składał na nich swój podpis. Pewnego razu wszedł do jego gabinetu młody urzędnik i położył przed nim na stole wykres. „Niech pan dyrektor spojrzy na te wskazniki i osądzi, czy dobrze stoją z planem” — powiedział celowo odwracając wykres. „Spostrzegłem, że coś nie jest w porządku — mówi dyrektor Jaworski. — Niepokoił mnie ironiczny uśmiech urzędnika i jego nerwowe ruchy. Rzeczywiście mogłem się wówczas zbłądzić. Na produkcji znalazłem się już jako tako. Buchalteria była jednakże wciąż dla mnie czymś dalekim i tajemniczym. Telefon z Warszawy wyratował mnie z opresji i zapobiegł kompromitacji. Kazałem przysłać urzędnikowi za godzinę. Przez ten czas skończyłem do kolegi, który wyjaśnił mi co i jak. Mój autorytet został uratowany”.

Uczył się. Wieczorami, gdy inni szli spać, brał do ręki książkę, zapoznając się z zasadami księgowości, poznając równocześnie błąd co błąd skomplikowaną produkcję porcelany. Do dyspozycji miał tylko podręczniki niemieckie. Z jednej więc strony przeklinał, a z drugiej błogosławił lata spędzone na przymusowych robotach w Niemczech. Jakże przydała mu się teraz znajomość języka niemieckiego.

Zimą 1951 roku Zakład Porcelany Elektrotechnicznej w Boguchwałach zeznał starego dyrektora. Wówczas zaproponowano dyrektorowi Jaworskiemu: „Obejmiesz tam kierownictwo i doprowadzisz przedsiębiorstwo do porządku. Zakład mniejszy od wałbrzyskiego, załoga barziej stabilna, ale za to skłócona. Nie mamy czasu, żeby badać, skąd się to wszystko bierze. Więc jedź. Nominację na piśmie dostaniesz poć”.

Dostał w rok później. Przez ten

czas zachował tylko tytuł „pejny obowiązków”.

Zamieszkał w bloku fabrycznym i zaczął od zwiedzania zakładu. Patrzył na ludzi, a ludzie na niego. Potem zwołał ogólne zebranie. „Macie pretensje?” — zapytał. Mielł. Że nie dostają mleka. Że brak odzieży ochronnej i rękawic. Żadali dużo, ale to wszystko się im należało. Zrozumiał w czym tkwi błąd. Wprowadził więc zasadę personalnej odpowiedzialności za niekwalifikowane służące za robotników.

Ludziom te posunięcia dyrektora spodobały się. Ale nie wszystkim i nie wszystkim.

Przechodził przez hale produkcyjne nie mógł nie dostrzec butelek po wódce i winie oraz skórek po kielbasie. Te fakty skojarzyły sobie z niską wydajnością pracy, z warcholstwem i rozróbą. W samkłym środowisku, jakim jest zakład, kilku

(Ciąg dalszy na str. 4)

PRZYCZYNY POWSTANIA CHRZEŚCJAŃSTWA

Świat i społeczeństwo ludzkie nigdy nie stoją w miejscu. Stale się rozwijają.

Nie stał również w miejscu i świat starożytny. Rozwijały się i rozrastały poszczególne państwa. Rosły rzesze niewolników, stawały w ich owym okresie siły robocze i główny obiekt wyzysku.

Człowiek coraz lepiej opanowywał przyrodę, poznawał rządzące nią prawa i uczył się obracać te prawa na swój pożytek. Pozostały nam z tego okresu takie olbrzymie budowle, jak egipskie piramidy, greckie miasta i świątynie, kanały nawadniające itp.

Zaczęła się rozwijać nauka, człowiek coraz bardziej przekonywał się, że piorun czy woda, chmura czy burza nie są wcale bogami. Są to materialne zjawiska przyrody, z którymi człowiek coraz łatwiej daje sobie radę.

Albo przecież w życiu społecznym istniały siły, które nadal decydowały o ludzkim losie, niezależnie od woli człowieka. Istniały choroby, wojny i inne nieszczęścia. Istniała władza panów, niedźwiedź niewolników i plebsu.

Narastające sprzeczności ustroju niewolniczego i brak perspektyw na rozwiązanie tych sprzeczności przy dalszym istnieniu tego ustroju rodziły nastroje beznadziejności. Nastroje te wzrosły szczególnie po krwawym i bezwzględny stłumieniu przez Rzymian licznych powstań niewolników i plebejuszy w III i w.p.n.e. Reakcją na liczne mniejsze i większe powstania niewolników i plebejuszy było zwiększenie ilości wojska, a tym samym wzrost znaczenia dowódców wojskowych. Koncentracja władzy politycznej i wojskowej w rękach cesarzy zahamowała na pewien czas ostateczny upadek ustroju niewolniczego, i zmniejszyła możliwość ponownego podejmowania przed-

tem prób rozwiązania jego sprzeczności i wyzwolenia się warstw niewolniczych. Zwiększyło to oczywiście nastroje rezygnacji społeczwane w nowej sytuacji brakiem perspektyw na wyjście z zamkniętego kręgu sprzeczności ustroju niewolniczego. Nastroje te — jak pisze Engels — stały się powszechne dla całej ludzkości imperium.

Nowy porządek społeczno-polityczny charakteryzował się uniwersalizmem, ujednoliceniem stosunków społecznych i administracyjnych na terenie całego imperium rzymskiego.

Odbiciem tego w sferze ideologii reprezentowanej przez religie było łączenie podobnych wierzeń i obrzędów różnych religii narodowych, plemiennych w jeden system religijny czyli tzw. synkretyzacja wierzeń.

Proces łączenia się wierzeń religijnych czynił szybkie postępy. Plemienni i narodowy bogowie sankcjonujący poprzedni porządek ekonomiczny i społeczno-polityczny coraz bardziej tracąc zaufanie wierzących w ich moc. Na skutek zachodzących przemian społeczno-politycznych w religii szuka się w tym okresie nie tyle tłumaczenia otaczającego nas świata zjawisk przyrodniczych, ile pomocy w znalezieniu sensu życia, w wyzwoleniu od groźnych, bo nowych, nieznanym sił społeczno-politycznych.

Przyczyną się do tego coraz bardziej ujawniana słabość bogów. Działalność człowieka odbierała bogom siłę. Wojny prowadzone przez ludzi pozabawili ich nieśmiertelności. Coraz częściej zdarzało się, że gdy jeden naród podbił inny, wówczas niszczył jego świątynie, rozbił posągi „nieśmiertelnych bogów” i narzucał swoją bogi, bogi zwycięzców.

Bogowie zaś podbitego ludu albo

umierali, albo szli do niewoli wraz z ludem, który ich sobie stworzył. Podbił, bezsilni bogowie tracili szacunek, stawali się już tylko demonami — lub — potępiani przez zwycięzców — złymi duchami.

Powstań wielkiego państwa rzymskiego, które siłą oręża pokonało i podbiło największe ówczesne państwa niewolnicze, jak Kartagina, Egipt, Grecję i kraje położone na terenie Azji Mniejszej, stworzyło warunki społeczne, które spowodowały ugruntowanie się idei „jedynego” wszechmocnego boga.

Cesarz, władca Rzymu, opierając się na złupionym całego ówczesnego świata bogactwie i mleczech utrzymywanych przez siebie pretorianów, stał się widomym obrazem władzy klasy właścicieli niewolników. Stale się władca absolutnym, jedynym panem życia i śmierci.

Jednocześnie z łupami i niewolnikami sprowadzonymi z całego świata na Forum Romanum, do Rzymu napływali tłumy kapłanów, a wraz z nimi bogowie podobnych narodów; przybyli kapłani, zachwalając swoich nadprzyrodzonych patronów, strasząc ich potęgą, organizując tajemnicze obrzędy i misteria, obiecując niezwykłe życie po śmierci, jeśli się teraz — za życia, złożą odpowiednią ofiarę kapłanowi.

Rzym, będąc najbogatszym miastem świata jest jednocześnie największym skupiskiem niewolników i niedźwiedzi. Nie widzą oni żadnej nadziei polepszenia swego bytu tu na ziemi i stają się łatwym łupem kapłanów.

W Rzymie i większa niż dotąd siła ujawniała się nowe źródła rodzace nowych bogów. Podstawa jest ta sama beznadziejność.

Główna przyczyna tej beznadziejności jest niepołacie źródło przemocy człowieka nad człowiekiem i me-

chanizm tej przemocy również niepojęty, jak sama przemoc.

A jednocześnie Rzym wrusza do wspólnego kotła wszystkich dotychczas lokalnych, plemiennych i narodowych bogów, stwarza warunki do ich porównania i łatwiejszego uogólnienia w postaci jednego boga.

Uogólnienie to ułatwia Jedynowładztwo pryncypatu cesarza. Jeden władca na ziemi pomaga zrozumieć rolę jednego władcy w niebie. Wszechmoc cesarza skazującego na śmierć lub wygnanie potomków boskich faraonów, ułatwia zrozumienie wszechmocny pana niebiosów.

Państwo rzymskie stanowi najwyższy, szczytowy punkt rozwoju ustroju opartego na pracy i wyzysku niewolników. Ale Rzym jest nieuleczalnie chory, toczy go rak sprzeczności i strach przed nieuchronnym upadkiem. Beznadziejna jest sytuacja zarówno niewolników, jak i wolnego plebsu coraz mniej otrzymującego „chleba i igrzysk”. Wzmagają się straszliwa niedza mas.

Beznadziejność i beznadziejność społecznego bytu niewolników „na tym świecie” — to znaczy w warunkach życia ówczesnego państwa rzymskiego — rodzi potrzebę szukania innego świata, w którym życie byłoby lepsze. Tu na ziemi jednak niewolnik go znaleźć nie może. Fantazja podsuwa mu świat pośmiertny, świat o którym mówią filozofowie i kapłani, świat, do którego droga prowadzi przez śmierć.

Gdy masy żądają zbawiciela — zbawiciel zjawia się. Zjawia się ich nawet wielu na raz. Nie tylko w Palestynie, gdzie dażenia i walka narodowo-wyzwoleńcza plemion i zraclskich wytworzyła legendę o Mesjaszu, którą ma przyjąć, aby wybawić swój lud, ale i w Egipcie, i w Grecji, gdzie np. jeden z nich podaje się za boga Apollina, który zstąpił na ziemię, aby zbawić świat.

Odracował
ST. RYBARESKI

W poszukiwaniu oryginalności

(Ciąg dalszy ze str. 2)

gło się ruszyć, gdyż za nim leciała chmara dzieciaków. Nie brakło i takich, którzy w tym prymitywnym na nasze warunki, środku lokomocji widzieli „czarce narzędzie”. A był to rok 1937. Dziś we wsi jest 90 motocykli i nikt się niczemu nie dziwi.

Zurowianie mają dużo ambicji. Inicjatywy przede wszystkim. Z chłopskim uporem — korzystając z zielonego światła, jakie od dłuższego czasu świeci wsi polskiej — zabrali się i do „ziemi-rodzicielskiej”. Karmili ich w sposób macosz przez długie lata. 9 q średnio zboża z ha, to było jej i ich — ostatnie z 1939 r. rolnicze słowo. Jedna świnia odchowana w roku sprawiała, że o takim gospodarzu mówiono — bogacz. Włosna, krowy na pierwszą zieleń wynoszono niemal na piaszczach.

...a dziś? Lepiej uprawiona gleba, zasilona nawozami sztucznymi nie skąpi pólów. 17 q z ha wynosiły średnie zbiory czterech zbóż w ub. roku. 16 gospodarstw zajmuje się hodowlą macior. Nie mogą wprost nastarczyć warchlaków. Wszyscy trzodę hodują po 3-4 sztuki. W planie gromadzkim stawiają sobie wcale niemałe zadania, ani myślą spocząć na laurach. Chcą także przekroczyć zaczerpniętą dla Rzeszowskiego barierę pól — 21 q zboża z ha. Tylko kółko rolnicze musi się wokół tych spraw energiczniej zakrzętnąć.

A z tym kółkiem cała historia. Ono właściwie pomogło stanąć zurowianom na nogi. Pięć traktorów bez przerwy dowoziło od 1958 r. do wsi materiały budowlane, cement, nawozy. Włoska w ten sposób zbliżyła się do ośrodków przemysłowych. Budownictwo prowadzone jest na szeroką skalę. Ignacy Pikusa i Józef Bawiec, prezesi kłeskiwego kółka rolniczego nie skąpią czasu, aby jeszcze lepiej służyć mieszkańcom Zurowej. Każdą okazję chwytają w łot. Oni to zapoczątkowali produkcję drewnianych opakowań na potrzeby przemysłu spożywcze-

go. Bagatela. Wartość produkcji w ub. roku wynosiła przeszło milion złotych. Wybudowali biurowiec z garażami i jeszcze mieli przeszło 50 tys. zł zysku.

Ich dochody są nierzadko w porównaniu ze spółdzielnią bednarzy „Zurowianka”, która wypuściła na rynek produkcję wartości przeszło 10 mln zł. Tylko w ub. członkowie spółdzielni zrzekając się przez 4 kolejne lata dywidendy, wzniesli budynek, w którym pracuje zarząd, mieszczą się magazyny itp. Mieszkańcy Zurowej zamierzają wybudować remizę. Włączają się do budowy Spółdzielni Zdrowia w Olpinach, o którą toczy się prawdziwy bój. Taki, że nawet 22 rozprawy sądowe nie mogą położyć kresu samowoli jednostki.

Wyroby zurowieckich bednarzy są wciąż poszukiwane. Podobno nikt takich beczek nie potrafi robić, jak Jan Mikrut z Podjurza czy Otton Czeluśniak. Nawet na miód się nadają. Aby go było pod dostatkiem w kraju. Łyżki, tłuczek i inna drewniana galanteria to znów specjalność Józefa Baka, Jana Furmana i pozostałych.

Czas miniony był czasem martwoty i biedy. Wrzesień 1939 roku był owocem rządów sanacyjnych. Mamy go na szczęście za sobą. Rząd robotniczo-chłopski, partia pozwoliły nam samym kształtować własne losy i życie. Korzystamy z tego — mówią zurowianie. Chcemy żyć lepiej i lepiej żyjemy.

Zapewne nikt się nie będzie tedy dziwić, że w pochodzie 1-majowym w Jasle wesołą grupę stanowią będzie młodzież i bednarze z Zurowej.

Temat miał być oryginalny. Życie nadało jednak nawet stuletnim tradycjom bednarzom w Zurowej zgłębić innego sensu i barw. Nie zachowała się też żadna skala porównań między tym co było i jest. Może to i lepiej...

ELŻBIETA JAKUBOWSKA

Robotnik z Debicy. Nadesłane wiersze są dość oryginalne, zdradzają żywą wyobraźnię autora, lecz brak im jeszcze dojrzałości w formie. Za dużo w nich tzw. „mocnych” określeń, świadomych wulgaryzmów (wzrask, rzyść, wściekłość, grzmocić rozpustę, fajnie, biadole, charyzmaty itd.). Należy chyba unikać tego rodzaju „naciśnięcia pedału”, gdyż to osłabia siłę wyrazu artystycznego utworów.

„ESKA — Przemysł. Niestety, wiersze nie nadają się na druk. Są jakieś koturnowe, napuszone, obfitują w pseudo-poetyczne frazesy („Wspomnienie drża jak mimosa, cień nie przesłaniał edeńskich chwili... losie władcę i carze pilanych eliksirem miłości” itd.). Brak im prostoty i oryginalności. Trzeba starać się wyrwać z sieci banału. Reportaże o wydarzeniach kulturalnych chętnie przyjmujemy i jeśli będą dobre — wydrukujemy. Oczywiście za honorarium — nie korzystamy z „grabsów” autorów.



ANTONI KLUZ — dyrektor PKO, zasłużony działacz Towarzystwa Wiedzy Powszechnej.

Rys. J. S.

Wyniki przeglądu wiejskich zespołów teatralnych

Wojewódzki Komitet Organizacyjny Wielkiego Festiwalu Teatrów Amatorskich wspólnie z Oddziałem Wojewódzkim Związku Teatrów Amatorskich w Rzeszowie przeprowadził w kwietniu wojewódzki przegląd amatorskich zespołów dramatycznych ze środowisk wiejskich.

Komisja ocen, której przewodniczyła Elwira Turka, reżyser Państwowego Teatru im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie dokonała przeglądu przedstawień i działalności 6 amatorskich teatrów dramatycznych, prezentowanych w przeglądzie, a mianowicie: zespołu ZMW w Kamionce, pow. Ropczyce (Dramat Joli — Marii Jadwigi Łęczyńskiej), zespołu teatralnego Związku Zawodowego Górników w Grabownicy, pow. Brzozów (Rocznica ślubu — Józefa Gruszyńskiego), zespołu ZMW w Zarszynie, pow. Sanok (Wuj z Ameryki — Jerzego Jesionowskiego), zespołu teatralnego Związku Teatrów Amatorskich z Bóbrki, pow. Krosno (Wzgrórze 35 — Jerzego Lutowskiego), amatorskiego zespołu teatralnego OSP w Dynowie (Firma prosperuje coraz lepiej — Barbary

Witek i Alfreda Duly) oraz zespołu ZTA w Szalowej, pow. Gorlice (Husary — A. P. Breała).

Podsumowując przegląd komisja postanowiła przyznać nagrodę za działalność społeczno-oświatową w środowisku oraz poziom artystyczny przedstawienia zespołowi OSP z Dynowa. Zespołom teatralnym z Szalowej i Bóbrki przyznano wyróżnienia za całokształt działalności wychowawczej wśród członków zespołu, społeczno-oświatowej w środowisku oraz przedstawienie prezentowane w przeglądzie.

W dziedzinie reżyserii do nagrody komisja przedstawiła mgr Janinę Juraszską (zespół OSP w Dynowie) a wyróżnienia przyznano Tadeuszowi Paterowi (zespół ZTA w Szalowej), w tym również za scenografię, Antoniowi Kurkowi (Bóbrka) i Edwardowi Białkowi (zespół ZMW w Kamionce).

Komisja zaproponowała również reprezentowanie zespołu teatralnego OSP w Dynowie na Wojewódzkiej Scenie Amatorskiej w Rzeszowie.

(stanski)

Zdarzenia TYGODNIA

W czwartek, 30 kwietnia, w lokalu ZPAP w Rzeszowie, otwarto wystawę prac nagrodzonych w konkursie pt. „Lata walki w dziełach sztuki”, ogłoszonym przez KW PZPR i Wydział Kultury Prezydium WRN w Rzeszowie. Wystawa obejmująca grafikę i obrazy A. Kuda (I nagroda), Zdzisława Ostrowskiego (II nagroda), A. Jakubowicza i B. Smożeniak (dwie III nagrody), Mariana Ziemińskiego (wyróżnienie).

W dniu 1 maja z okazji Święta Pracy odbędzie się w Rzeszowie koncert symfoniczny Państwowej Orkiestry Symfonicznej, którym dyryguje Janusz Ambros. Na program złożą się utwory muzyczne i arie operowe P. Czajkowskiego, S. Rachmaninowa, W. A. Mozarta, G. Verdiego, G. Rossiniego i innych. Z orkiestrą wystąpią soliści bułgarscy: Anna Aleksiew — sopran i Paweł Gierdzikow — bas.

25 kwietnia na wojewódzkiej scenie amatorskiej w Rzeszowie, zespół teatralny „Lutnia” z Łańcuta, laureat nagrody wojewódzkiej Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Amatorskich, wystąpił ze sztuką Aleksandra Maliszewskiego pt. „Ballady i romanse”.

Kuratorium Okręgu Szkolnego i Okręgowy Ośrodek Metodyczny w Rzeszowie przeprowadzają rejonowe pokazy zespołów żywego słowa, chóralskich, muzycznych i tanecznych ze średnich szkół ogólnokształcących i zawodowych. Program zespołu związany z tematyką 20-lecia PRL i Tysiącleciem Państwa Polskiego. Najlepsze zespoły wezmą udział w pokazie wojewódzkim, który odbędzie się w tym miesiącu.

W dniu 26 kwietnia w auli Państwowej Szkoły Muzycznej w Rzeszowie odbyła się druga z kolei i ostatnia impreza w ramach zorganizowanego przez Towarzystwo Muzyczne popisu uczniów społecznych ognisk muzycznych z województwa rzeszowskiego. Tym razem wystąpili uczniowie ognisk z Jarosławia, Sienawy, Radymna, Lubaczowa, Rzeszowa i Tarnobrzega.

Przez trzy dni bawił na terenie naszego województwa zespół Marino Mariniego, który w dniu 27 kwietnia koncertował w Szalowej Woli, 28 — w Rzeszowie i 29 — w Mielcu. Z zespołem występowała tym razem solistka Vittoria Rafaele.

W sanockim PDK czynna jest wystawa pt. „Rzeszów w grafice i rysunku”, tj. prace nadesłane na konkurs, ogłoszony przez Wydział Kultury Prezydium MRN i Związek Polskich Artystów Plastyków w Rzeszowie. Prace te eksponowane były poprzednio w foyer teatru im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie.

Droga awansu

(Dokończenie ze str. 3)

maćdowność potrafi wypłynąć demobilizując na całą załogę.

Ważniejszych nauczyły go jeszcze jednego: że nie wolno poddawać się. Nie wolno być tylko biernym obserwatorem. Trzeba działać natychmiast i to z całą powagą i surowością. Jest to jedyny środek na poskromienie prodyktorów. Więc zaczął wymagać, karać, wrzeszcze zwalniać. Rozumował tak: „Albo zlanie kark na tym zakładzie, albo wyprowadzę go na właściwą drogę. Chcę być dyrektorem a nie marionetką”.

Nie zawsze też znajdował poparcie u towarzyszy z POP. Zresztą nie u wszystkich. Sekretarzem organizacji partyjnej był wówczas człowiek, o którym mówiono, że ma chody w Rzeszowie i nikt mu nie nie robi. Liczył na tanią popularność. Rzecz jasna, bez wahania przyłączył się do obozu przeciwników dyrektora Jaworskiego, którzy krzykali ile siły: „Nie potosmy walczyć o demokrację, żeby jakiegoś nadzorca zaprowadzić w zakładzie pańszczyźniane stosunki”. Dyrektor Jaworski przeklął i to. Udał że nie słyszy, choć czuł, że na tym się nie skończy. I rzeczywiście. Po spotkaniu się listy i anonimów. Do Boguchwały przyjeżdża inspektor z Centralnego Zarządu. „Co się tu u was, kolego, dzieje?” — pytuje. — „Co wy wyprowadzacie?”. A dyrektor do niego: „Posłaliście mnie do Boguchwały, żebyśmy wyciągnęli ten zakład z bagna, czy nie tak? Proszę mi więc, drogi inspektorze, nie przeszkadzać. Jeżeli się nie nadaje, zwolnijcie mnie. Ale nie będę tolerował pijanstwa i rozrób. Zakładowi potrzeba przede wszystkim spokoju. Niczego więcej”.

Anonimy jednakowoż nie ustawały. Pisano teraz do władz rzeszowskich. Dyrektor Jaworski jedzie do Rzeszowa do KP i przedstawia sytuację i sekretarzowi tow. Rolikowi. „Racja jest po waszej stronie — mów pierwszy sekretarz. — Z drzwiczym trzeba się rozprawić raz na zawsze. Mi wam w tym pomożemy. Zabierajcie się teraz do roboty. Boguchwała odgrywa ważną rolę w naszej gospodarce”.

Istotnie. Nie był to zakład specjalnie duży, ale liczył się. Produkowali izolatory do wysokich i niskich napięć, stacji transformatorowych — a izolatorów było brak. W kraju rozpoczynało akurat wielką batalię o elektryfikację. Żeby jednak uporać się z produkcją, musiał zacząć przede wszystkim od ludzi. Musiał mieć jakiegoś kolektu, który by razem z nim zaprowadzał w zakładzie porządek. Żeby jednak skompletować taki kolektyw, trzeba było zrezygnować z niektórych kierowników i mistrzów oraz dobrać się do zabagnionych stosunków w niektórych wydziałach.

Sprawdził fachowców — ceramicznych z całej Polski. Jeździł za nimi i agitował: „Przejeżdżajcie do Boguchwały. Dajemy mieszkanie, możliwości dobrego zarobku i awansu”. Przyjeżdżali. Kierowano ich do dwóch zakładów bloków. Otrzymywali pozwolenia na budowę domków jednorodzinnych. Budowali. Z okien hal fabrycznych wyglądała teraz ta domki jak pudełka, które ktoś porozrzucił po polu. Jest ich dwadzieścia czterech. W Boguchwałę od wielu lat padło ważne słowo — stabilizacja. Stabilizacja kadry kierowniczej, inżynierskiej i techników, którzy swój pierwszy start zaczęli właśnie w tym zakładzie i z którym

wiała ich teras praca, rodzina, dom.

Zanim zaczął stawiać wymagania podwładnym musiał sam sięgnąć do podrekrutów. Podobnie jak w Wałbrzychu. Uczył się pokrywaniu, nocami. Nikt w fabryce, nawet z najbliższych współpracowników nie wiedział o tym. Obawiał się, że może mu się noga powinąć. Zdał jednak wszystkie egzaminy i zdobył tytuł inżyniera. Zaprosił z tej okazji do domu kilku przyjaciół, aby oblać bądź co bądź ważną dla niego w życiu chwilę. Obiewanie odbyło się bez niego. Telefonowano z fabryki, że nastąpiła awaria miłna. Wrócił po północy. Umorusany, spocyny i głodny. A rano był już w Warszawie.

W stolicy przedstawił dyrektorowi Jaworskiemu niecodzienną ofertę. Boguchwałę jako pierwszą fabrykę w Polsce miała rozpocząć produkcję izolatorów do świec samochodowych i motocyklowych. Wrócił do zakładu ze zmiennymi uczuciami. Czy biuro technologiczne da sobie radę? Czy fabryka w ogóle jest przygotowana do podjęcia tego rodzaju produkcji? Wspominał o tym „rzeczoznawcy” w Warszawie. Obiecali pomoc prof. Winogrodowa z krakowskiej AGH. Radzono, żeby zapoznać się z zagraniczną literaturą fachową. Zdłone mraże. Był przecież w Szwajcarii, Niemczech i Włoszech. Znał doskonale prawa i praktyki przedsiębiorstw specjalistycznych. W literaturze nie znajdował np. pierwiastkowej budowy świecy. To się nazywa tajemniczą zawodową. Świeca angielskie „champion” są wypalane w temperaturze 1700 stopni. O tym wie każdy. Nie wie natomiast, jaka jest w nich zawartość tlenku glinu. Nie zna innych szczegółów. Mieli zresztą

dość własnych kłopotów z izolatorami do wysokich napięć. Pękaly w skrzyniach lub gęły się w piecach. To duża i zawiła historia. Inny jest stopień rozszerzalności cieplnej metali, inny glazury, a jeszcze inny mas izolatorowej. O powodzeniu albo wpadce decydują ułamki milimetrów.

Mimo to Boguchwałę rozpoczęła produkcję świec, choć z różnym powodzeniem. Jeszcze w 1959 r. mieli 70 proc. braków. Dziś mieszczą się w 20 procentach, co jest dobrym wynikiem. Dyrektor Jaworski wiele obiecuje sobie po zakończeniu budowy nowego zakładu, który będzie wyposażony w najnowocześniejsze maszyny i urządzenia. Radują go przede wszystkim piece tunelowe, gazowe, w których wypalanie izolatorów odbywać się będzie systemem automatycznym i ciągłym bez wygaszania pieca.

Czasami dyrektor Jaworski buntuje się jednak w głębi duszy. Zakład dwanaście razy zdobył sztandar przechodni. Od 1959 roku nie mogą jednak wyjść poza zaczerpniętą granicę stukilku procent wykonania planu. Zakładom, które dobrze sobie radzą wali się na kark często potrójne obowiązk. Ta zasada wcale nie jest dopięciem. Tym bardziej że Boguchwałę należy do specjalnych zakładów. Nie ma tu jakiegos wyspecjalizowanego kierunku produkcji. Kwartalnie wykonuje się do 250 typów izolatorów. Często w małych seriach.

Nierazko bywa i tak, że w czasie produkcji następują zmiany. Kiedy byłem w Boguchwałę, akurat przebrano produkcję. Okazało się, że klient zagraniczny przysłał zmlany wymiarów do zamówionych przez siebie izolatorów, których część stała już gotowa do wysyłki. Rzeczywiście godyjski węzeł. Co robić z partią gotowych izolatorów? Wyrzucić na śmietnik i zacząć wszystko od nowa?

Dyrektor podejmuje decyzję, aby dokonać poprawek na sucho.

Przy okazji świadczą fabrykę. Ruch, sgrzyt miłnow, straszliwa ciasto. Ludzie pokryli białym pyłem wyglądając jak miłnarze.

— Kapitaliście, który ten zakład budował nie zależało na robotnikach — mówi dyrektor Jaworski. — Chodziło mu o to, aby wydać jak najmniej, a uzyskać jak najwięcej. Nawet kosztem zdrowia ludzi. Myśmy tę fabrykę już przebudowywali, ale sytuację radykalnie zmienić dopiero nowy zakład. Mimo jednak ciężkiej pracy nasz robotnik potrafi być ofiarny. Na przykład ubiegłorocznej zimy, choć temperatura spadała poniżej dopuszczalnych norm, nikt stanowiska nie opuścił, nikt nie prosił o zwolnienie. Posłaliśmy do załogi i odwolaliśmy się wprost do poczucia patriotyzmu. Nie ma takiej rzeczy, której nie można by wytrzymały, przeprawa. Trzeba tylko rozsądnie porozmawiać z ludźmi, wyjść do nich, nie ukrywać trudności.

Dyrektor Jaworski wie, że ludzie są zdolni zrobić bardzo dużo, lecz nie można ich traktować jak maszyn. Wszystko zależy od atmosfery w zakładzie i współpracy między kierownictwem a załogą. Słowem — chodzi o dobry klimat. Taki klimat w Boguchwałę istnieje.

Syn robotnika kolejowego z Nowego Sącza kieruje 650 ludźmi. Za rok załoga wzrośnie o dalsze 700 osób. Czy swój fotel dyrektorski uważa za karierę? Czy faktycznie o takiej karierze marzy? Na pewno nie. Zaczęło się przecież od Wałbrzycha. Miał wówczas za sobą tylko szkołę handlową. Był młody, niedoświadczony. Potrafił jednak sprzedać w pracy upór, ambicję i inicjatywę. Czuję się związany z tą fabryką. Bez niej nie wyobraża sobie życia.

EDWARD WISZ